

TOM I

I

Poranek wiosenny świtał nad czarną lasów ławą, otaczającą widnokrąg dokoła. W powietrzu czuć było woń liści i traw młodych złanych rosą, świeżo w ciągu kilku takich poranków, z nabrzmiałych pączków rozkwitłych. Nad strumieniami wezbranymi jeszcze resztką wiosennej powodzi, złościły się łoście¹, jak bogate szycie² na zielonym kobiercu. Wschód słońca poprzedzała uroczysta cisza – tylko ptactwo zaczynało budzić się w gałęziach i niespokojnie zrywało się z noclegów. Już słychać było świergot i świsty, i nawoływania drobnej druzyny. Wysoko pod chmurami płynął orzeł siwy, kołując i wypatrując pastwy na ziemi. Zawiesił się czasem w powietrzu i stał nieruchomy, a potem dalej majestatycznie żeglował... W borze coś zaszeleściło i umilkło... Stado dzikich kóz wyjrzało z gąszczy na polankę... popatrzyło czarnymi oczyma i pierzchło... Zatęniło za nimi – cicho znowu.

Z drugiej strony słycać łamiące się gałęzie, zaszeleścił łoś rogaty. Wyjrzał, podniósł głowę, powietrza pociągnął chrapami, zadumał się, potarł rogami po grzbiecie i z wolna poszedł

¹ Łoć – ludowa, regionalna nazwa kaczeńca (przyp. red.).

² Szycie – tu: haft, zdobienie (przyp. red.).

w las nazad³... I znowu słyszeć było łom gałęzi i ciężkie stąpanie.

Spod gęstych łoż zaświeciło oczu dwoje – wilk ciekawie rozglądał się po okolicy. Tuż za nim, położywszy uszy pierzchnął przelęknął zając, skoczył parę razy i przycupnął.

I milczenie było, tylko z dala ozwała się poranna muzyka lasów... Trąciło o nie skrzydło wiosennego powiewu i gałęzie grać zaczęły. Każde drzewo grało inaczej, a ucho mieszkańca puszczy rozeznąć mogło szmer brzozy z listki młodymi, drzenie osiczyny bojaźliwe, skrzypienie dębów suchych, szum sosen i żałośliwe jodeł szelesty.

Szedł wiatr, stąpając po wierzchołkach puszczy, i głośniejsze coraz odpowiadały mu bory, coraz bliżej, silniej coraz muzyka grała pieśnią poranną.

Ponad lasy płynęły zarumienione chmury, jak dziewczęta, które się ze snu zerwały zbudzone i uciekały, czując, że obcy pan nadchodzi. Szare zrazu niebo błękitniało u góry, poźlądało się u dołu; obłoczki białe jak z rąbku obsłonki pościeli, rozwiewał wiatr po lazurach. Słońce strzeliło promieniami ku górze... noc uciekała. Widać było ostatki cieniów i mroków roztapiające się w dnia blasku. Nad strumieniami i łąkami, jak dymy ofiarne, zakipiały pary przejrzyste, ulatując z wolna ku niebu i ginąc w powietrzu. Ukośne promienie słońca ciekawie zaglądały w głębiny, śledząc, co się przez noc rozrosło, zazieleniło, wykwitło.

Razem z szumem lasu, zawtórował chór ptaków; wszczął się gwar wielki; ożyły w świetle łąki, zarośla, puszcze i powietrzne szlaki – wracało życie.

W promieniach wirowały, zwijały się, kręciły niespokojne skrzydlate dzieci powietrza... coś szczebiocąc do siebie, do chmur i do lasów.

³ Nazad – wstecz, w tył (przyp. red.).

Kukułki odezwały się z dala, dzięcioły kowale już kuły drzewa.

Był dzień.

U skraju lasu, nad rzeką leniwą, która go przerzynała, wśród gęstych drzew, gdzie cień schował się jeszcze, widać było kupkę gałęzi, niby szafas naprędce sklecony; kilka kołków wbitych w ziemię, a na nich nacięte konary jodłowe... Obok tuż, było wygasłe ognisko, spopielane i kilka w nim niedopalonych głowni. Poniżej w zielonych, bujnych trawach, na sznurach do kołów poprzywiązywanych, pasły się dwa małe, grube, gęstym i najezonym jeszcze zimowym włosom okryte konie.

Szelest jakiś w lesie znać je nastraszył, poznały nieprzyjaciela. Nastawiły uszy, rozděły chrapy, zaczęły niecierpliwie nogami kopać ziemię. Jeden z nich zarżał, a echo po lesie poniosło ten dziki głos, który się rozległ i powtórzył słabiej za łąką.

Z szafasu pokazała się głowa cała włosami okryta długimi – zarosła rudo; dwoje oczu ciemnych skierowało się naprzód ku koniom, potem ku niebu, ruch się dał słyszeć pod gałęziami. Wkrótce potem rozgarniając je, wydobyl się spod nich człowiek słusznego wzrostu, krępy i barczysty. Długiem leżeniem i snem skostniałe wyciągnął członki, ziewnął, strząsnął się – popatrzył na niebo, potem na konie; te zobaczywszy go, z wolna zaczęły się zbliżać ku niemu. Nadstawił uszu bacznie. Nic słyszeć nie było... prócz szumu lasu, śpiewu ptactwa, mruku strumienia.

Człowiek wyglądał dziko: włos bujny, poplątany spływał mu kudłami na barki i osłaniał niskie czoło tak, że oczy wprost spod nich patrzyły. Reszta twarzy także była zarosła, ledwie część policzków, zarumienionych snem i chłodem, dobywała się spod wąsów i brody – wśród których ust prawie znać nie było. Sukienna, wełniana, gruba odzież brunatnego koloru, okrywała mu ramiona, pod szyją spięta na guz i pętlę. Nogi

miał też suknem i skórą pookręcane, a stopy obwite nią i pasane sznurami. Z rękawów sukni krótkich dobywały się ręce silne, włosom okryte i opalone. Twarz miała wyraz przebiegły, na w pół zwierzęcy, na w pół człowieczy, zuchwały zarazem i ostrożny; oczy biegały żywo. Ruchy ciała zręczne i silne, nie dawały wieku odgadnąć, choć młodość już pozostawił za sobą.

Postawszy chwilę, mężczyzna wrócił ku szałasowi i nogą silnie kopnął w ścianę jego, nie mówiąc słowa. Poruszyło się coś żywo za gałęziami, i wnet spod nich wypełzło chłopię, wydobyło się zza liści, zerwało rześko na nogi... Wyrostek mógł mieć lat z piętnaście, krzepki był i nieco do starego podobny. Twarz mu jeszcze nie porastała, włosy miał krótko ucięte, odzież grubą a wyszarganą, z sukna i płóciennych chust złożoną. Na nogi wstawszy, oczy przetarł kułakami; ledwie miał czas resztę snu z powiek opędzić, gdy starszego głos chropawy, w mowie dziwnej, obcej, której na tej ziemi nikt oprócz nich dwu nie rozumiał, zawołał:

– Gerda – do koni! Słońce wzeszło. – Usłyszawszy ten rozkaz, poparty lekkim potrąceniem w plecy, chłopiec zbiegł ku koniom, odwiązał sznury, skoczył na grzbiet z nich jednemu, i poprowadził je o kilka kroków dalej, gdzie trochę piaszczystego, suchego brzegu, do wody przystęp dawało. Na piasku widać też było ślady kopyt koni, które już tam wprzód napoju szukały. Konie zaczęły pić chciwie. Chłopię, siedzące na jednym, ziewało, z ukosa spoglądając ku staremu, który około szałasu się krzątał, mrucząc coś sam do siebie.

Była-li to poranna modlitwa?

Na ostatek konie, napojone, podniosły głowy, i jak zadumane słuchały lasów szumu; chłopak je sznurem pognął ku szałasowi. Tu już nagotowane leżały, suknem i skórą poobwijane juki, które starszy począł na konie zarzucać i przywiązywać. Milczący pomagał mu wyrostek. Na grzbiety koniom

zawieszono sukno grube i skóry... Gdy wszystko było w pogotowiu, stary wlaź jeszcze pod szałas, i po chwili wyszedł z niego uzbrojony. U pasa miał siekierkę jak młot grubą, krótki nóż w pochwie skórzanej, na plecach łuk, przez drugie ramię procę, i krótką pałkę drewnianą, krzemieniem nabijaną, którą przed sobą uczepił na koniu. Chłopak też ściągnął swój oręż z ziemi, nóż do pasa i siekierkę, którą do ręki wziął, lekko na grzbiet konia wskakując. Starszy się jeszcze obejrzał na noclegowisko, patrząc, czy czego nie zapomniał na nim, rękami popróbował sakw na grzbiecie powiązanych i konia swego pod kłodę poprowadziwszy, skoczył nań zręcznie. Już mieli ruszyć z miejsca i starszy się rozglądał, aby wybrać drogę – gdy z gęstwiny, naprzeciw, rozgarniając ostrożnie leszczynę i kaliny, niepostrzeżona, po cichu wysunęła się głowa ludzka.

Ciekawie, zrazu z jakąś obawą, dwoje oczu jasnych, przypa-trywało się podróżnym. Zza gałęzi widać tylko było włos płowy co je otaczał, młodą twarz ledwie zarostem pokrytą, białe zęby w ustach, na pół podziwem otwartych...

Podróżny tymczasem ku słońcu spoglądał i na bieg rzeki.

Ponad jej brzegami drogi żadnej śladu widać nie było. Zdawał się chceć się upewnić, czy ma ją przebrnąć, czy z nią, czy przeciwko niej się puścić. Konie rwały się już do pochodu niecierpliwie, obrócone na wschód łbami. Starszy pomyślał trochę, oczyma łukę zmierzył, trzęsawiska i bór, potem zwrócił się na piaszczyste wybrzeże, kędy konie pojono. Tu stanąwszy, myślał pewnie, czy bród znajdzie, bo oczy utopił w wodzie, jakby mierzył jej głębinię. Byłby teraz i tę głowę mógł dojrzeć w krzakach, co go szpiegowała – ale się ostrożnie schowała, tylko gałązki opadły i drżały. Powoli konie wchodziły w wodę, która tu nie była grząską ni głęboką, zanurzyły się po brzuchy, zdawało się, że popłyną, ale tuż się znalazła ława piaszczysta i oto już – brzeg drugi... Obaj podróżni wylądowali szczęśliwie, ledwie pomoczywszy nogi.

Drugim brzegiem wyższym nieco i suchszym, wygodniej kroczyć było, choć tuż, tuż za gęstwiną coś szeleściło dziwnie... Zwierz spłoszony, myślał podróżny.

Naokoło oprócz noclegowiska śladu człowieka nie dostrzegło oko; bór jak go stworzył Bóg, ku niebu wyrosły bujnie, pnie grube jak słupy proste, oschłe z gałęzi od dołu, u góry w zielone wieńce ubrane. Gdzieniegdzie zwałona burzą kłoda, na wpół przegniła, na wpół z kory opadła, pogieęte od wichru wyrostki i poschłe od zgrzybiałości, mchami, jak futrem na starość odziane olbrzymy.

Jechali. Na wzgórzu coś białało nieopodal. Pod dębem leżał kamień wyżłobiony jak misa, nad nim drugi stał, gruby i niezgrabny. Ręka niewprawna wyrzeźbiła na nim niby ludzką twarz straszliwą, czapką okrytą u góry. Starszy wstrzymał się trochę, zobaczywszy znak u drogi; obejrzał się niespokojnie dokoła i mijając go, splunął nań z pogardą.

W tej chwili świst się dał słyszeć dziwny z krzaków i drzewce ze strzały utkwilo na piersi, w grubej sukmanie starszego. Ledwie poczuwszy pocisk, nie wiedząc jeszcze, czy do broni ma się brać, czy do ucieczki, obracał głowę, gdy chłopak krzyknął. Druga strzała utkwiała mu w nodze.

A z lasu dał się słyszeć śmiech, śmiech dziki jakiś, straszny, niby wycie zwierzęce, niby okrzyk człowieka... zachichotało, rozległo się, zamilkło... Sroka siedziała na kamieniu, na czapce i podniósłszy skrzydła krzyczała, śmiechowi wtórując; a miotła się, jakby i ona groziła.

Konie głosami tymi podżegnięte przyspieszyły kroku – ale nieprzyjaciela już ani widać, ani słyszeć nie było... Cisza panowała nad lasami, drzewa tylko uroczyście szumiały.

Starszy mężczyzna kłusował naprzód, konia pędząc skoro. Chłopak, który strzałę wyszarpnął z nogi, spieszył za nim, pochylony na szyi swojego... Przebiegli tak stai

kilkoro⁴, aż, nie słysząc nic, nie widząc pogoni – zwolnili kroku. Starszy się dopiero obejrzał na chłopca, z pobladłą twarzą, z zaciętymi ustami, z wytrzeszczonymi oczyma, przyległego do konia. Nie miał nawet czasu od strzały tkwiącej w piersi się uwolnić. Przebiła ona sukno i znać uwięzła w ciele, bo, choć w szybkim biegu, ugięła się i opadła ku dołowi, trzymała się jeszcze. Tu dopiero, na polance konia ściągnąwszy, starszy obejrzał się na strzałę i zęcnie ją pocisnąwszy, choć syknął z bólu – wydobył, obejrzał ciekawie i do skórzanego na plecach worka wsunął.

Strzała miała z kości białej wyrobione ostrze cienkie, na którego końcu widać było krwi kropelkę.

– Pioruny by w nich były... i burze! – zawołał, warcząc, rudy. Gdzieś się w krzakach znalazło oko, co podpatrzyło i pomściło za bałwana...

– Tyś ranny w nogę, Gerda?

Chłopak z oczyma jeszcze obłąkanymi i trwogą, milcząc, na nogę skaleczoną wskazywał. Rana jego głębsza była, bo płachty nie wstrzymały strzały.

– No – nic to! Jedna strzała polańska! – zamruczał starszy. – Oni ich nie zatruwają. Obawiałem się, aby ich tam więcej nie było. Znać jeden rozbójnik nie straszny. Nie ważył się, zobaczywszy, żeśmy zbrojni... ale, może nawołać innych, narobić wrzawy... uchodzić trzeba...

Spojrzał na słońce.

– Trzymaj się konia, a puść go za mną. Spieszyć trzeba, żeby nas w tym nie zaskoczyli lesie, dopóki nie dojedziemy do znajomych. Z południa na miejscu będziemy.

Chłopak milczał. Starszy coś mrucał jeszcze, ku górze patrzył, konia sznurem ściągnął i polecieci gęstwina, nad brzegiem się ciągle trzymając, bez drogi – rzeka gościniec znaczyła.

⁴ Stai kilkoro – kilkaset metrów (przyp. red.).

Puszcza wciąż była dzika, niezamieszkała, milcząca. Raz z dala na wodzie postrzegli jakby głowę ludzką z ciemnym przyległym do niej włosem i dwoje rąk wiosłujących około niej. Lecz gdy się tętent dał słyszeć, znikła, wir tylko było widać nad powierzchnią wody. Minęli ją... i wyszła znowu z głębin; na włosach czarnych, dokoła opleciony był wianek z łotoci... oczyma strzelała za nimi... Trochę dalej czółno maleńkie jak łupinka, ślizgało się, płynąc z biegiem, ponad nim białą chustę widać było. Gdy tętent dał się słyszeć, znikła płachta na dnie i czółenko jak wąż, wsunęło się między trzciny, łozy, wiszary, których tylko wierzchy się chwiała. Kilka kaczek zerwało się przestraszonych, wyciągnęły szyje. Sznurem leciały gdzieś dalej... plusnęły i padły.

Podróźni wciąż biegli brzegiem, to szybciej, to wolniej; dwa razy konie poili zmęczone i jechali dalej bez spoczynku; a słońce też podnosiło się coraz wyżej, grzało coraz mocniej. Choć w lesie świeżo było i chłodno, od łąk i piasków zalatywał oddech gorący.

Nie zmieniła się okolica – bór ciągle szumiał nad rzeką. Gdzieś niedzie w piasku między pagórkami świeciło jezioro – to szerzej rozlewały się wody, to się ścisnęły wśród parowu. Mieniły się tylko drzewa, sosny i jodły, potem zielonych liści brzozy i lipy, i osiki, i dęby na wpół jeszcze śpiące, a głuche na wiosnę.

Gdzieś zółtawą ławą to leżał piasek, to była kępiasta grzęzawica, którą okrążyć musieli. Przed nimi z dala pomykał zwierz, z łąk pierzchały całe stada łosi i jeleni, dobijając się do lasu, na którego skraju stawały, patrzyły jeszcze ciekawie, i gnały dalej, znikając im z oczu. Naówczas łomot stad spłoszonych koni straszyl i pędziły żywiej, stuliwszy uszy... dopóki sił stało.

Gerda ciągle ręką chwytal za nogę zranioną. Czuł, że mu krew cieknie, jakby ciepły sznurek wijący się aż do stopy, i w skórzanym obuwiu zbiera się u nogi, czerwonymi kroplami sącząc się przez szpary chodaka.

Ale skarżyć się nie śmiał, zawijać rany hubą z drzew lub liści, co by krew zatamowały – nie było czasu... Starszemu też trochę krwi pokazało się między palcami ręki; otarł je o końską grzywę, nie troszcząc się o to.

Rozpatrywał się wciąż po okolicy, dawniej znać sobie pamiętnej, jakby szukając miejsca do spoczynku... Lecz nierychło, nierychło zwolnili biegu.

Tu rzeka, płynąc nizinami równymi, szerzej się rozlewała, wśród błot świeżą zielonością okrytych. Ze wzgórza nagiego, na którym stali, widać było łąki i trzęsawiska, wśród nich moczary i jeziora mnogie, opasane gajami... Kilka strumieni zbiegało się tu z borów ku rzece. Las, wśród którego stanęli, wypalony był i zeschnięty na znacznej przestrzeni – gąszcze, co go podszywały spłonęły do szczętu; daleko więc w głąb jego sięgnąć było można okiem i dojrzeć nieprzyjaciela.

Tu starszy z konia się zsunął, rzucił go, nie patrząc i legł na ciepłym piasku, obu rękami pot kroplisty ocierając z czoła. Zmęczony był, piersi mu się podnosiły, a że krwawymi palcami dotknął twarzy – i ją też sobie całą okrwawił.

Ujrawszy to, chłopak uląkł się i krzyknął.

– Co ci to, Gerda? Czyś ty mężczyzna? Czy się matka twoja omyliła, że ci nie wdziała chust i spódnicy? Kropla krwi, a tyle strachu i wrzasku?

Chłopak mu dopiero wskazał na własną twarz jego.

– Nie o moją mi strach... rzekł – choć skórznie mam jej pełne... ale o waszą. Twarz, ojciec, macie we krwi całą.

Starszy na ręce swe popatrzył, rozśmiał się tylko i nic nie odpowiedział.

Gerda tymczasem na ziemi siadłszy, nogę ranną rozsuł i począł czyścić obuwie, potem ranę ocierać i okładać hubą. Stary patrzył na to obojętnym okiem.

W milczeniu dobyli potem z sakw suszone mięso i plac-ki, które starszy na ziemi rozłożył. Poszedł się wprzód obmyć w wodzie i dłonią jej do ust zaczerpnąć. Gerda za jego przykła-dem zwałókl się też do wody. Siedli jeść w milczeniu. Konie na chudej trawie leniwie się pasły.

Z lasu wyleciała sroka; uwiesiła się na suchej gałęzi nad gło-wą starego, pochyliła ku niemu i krzyczała. Zdawała się zagnie-wana, trzepała skrzydłami, podlatywała coraz bliżej... wołała coś, jakby na gwałt zbierając drugie. Nadciągnęły w pomoc wtóra i trzecia, i wrzaskliwie to podlatywały, to przysiadały przy nich. Stary, który się chciał zdrzemnąć, zniecierpliwiony łuk napiął i strzelił. Nie ranił żadnej, zerwały się z krzykiem... zawirowały w powietrzu i wróciły krakać nad nimi... Gerda z głową zwieszoną, na rękach wsparty, nad końmi czuwał. Las milczał; niebo było czyste; owad tylko, wywołany słońcem do życia, brzęczał, gromadami unosząc się w powietrzu.

Po krótkim spoczynku na konie siedli znowu. Stary się do chłopca zwrócił.

– O strzałach, o krwi, o niczym ani słowa tam. Najlepiej byś nie mówił nic i niemego udawał. Niemcami oni nas tam zowią – choć my ich język rozumiemy... Słuchaj, co gadać będą, zda się to zawsze – ale udawaj, że ci ta mowa obca. Tak lepiej: milczeć.

Spojrzał nań, czekając, by mu Gerda oczyma odpowiedział. Jechali dalej a dalej. Słońce już się z wolna spuszczać zaczyna-ło ku zachodowi. Brzeg rzeki wyniosły coraz się zniżał, wilgot-niejsze otaczało ich powietrze – cień zalegał boru ściany – gdy w dali, nad zaroślami, pokazał się słup dymu siny...

Stary zobaczywszy go, drgnął z radości czy niepokoju; chłopa-ki też weń oczy wlepił i zwolnili koniom biegu.

Dokoła się las rozlegał stary, wysoki, gęsty, a łąka nad rzeką zwężała, płynąca ściśnionym korytem. – W prawo otwarła się

łąka, dokoła zasiekami drzew zrąbanych⁵ otoczona... Poza nią z szałasów jakichś, chałup z drzewa i chrustu, opasanych tynami⁶ wysokimi – dobywał się ów słup siny... Zbliżając się ku budom, coraz je lepiej rozeznąć można było.

U brzegu podniesionego trochę rzeki stały w prostokąt szczelnie zewsząd zamknięte. Od łąki odgradzały je kłody drzew i tyny, pokopane doły i powbijane pale. Na jednym z nich tkwiła zawieszona biała, od deszczów wypłukana, od słońca zwapniała czaszka końska.

Dachy pokryte były kawałami darty drzewa, wiszarem i gałęziami – ściany w słupy z chrustu plecione. W pośrodku tylko z kłód ogromnych w zrąb zbudowana wznosiła się chałupa-dwór, do której szopy wkoło przytykały, z nią razem obejście tworząc, w środku którego małe znajdowało się podwórze.

Dojeżdżając rudy podróżny zwolnił koniowi biegu, oczyma szukając, czy kogo nie zobaczy. Nie widać było żywej duszy. Wahał się jeszcze, jak dać znać o sobie – gdy u brzegu rzeki, na ogromnym, zbląkanym tu od wieków kamieniu ujrzał siedzącego starca, który, niepostrzeżony, od dawna go śledził oczyma.

Ubrany był cały w bieli, nic nie mając na sobie oprócz odzieży z płótna grubego. Nogi miał bose, głowę siwą nieokrytą. Ogromna, długa do pasa broda piersi mu osłaniała. Białe, wysoki kij trzymał w ręku. Koszulę na wierzch włożoną i do kolan spadającą, obejmował pas czerwony. Żadnej zresztą nie miał ni ozdoby, ni broni. U nóg jego dwa psy leżały do wilków podobne – zaczajone, przypadłe do ziemi, oczyma krwawymi wiodące za podróżnymi. Drgały leżąc... i czekając, kiedy się rzucą.

⁵ Zasieki drzew zrąbanych – przeszkody z powalonych drzew, ułożone w poprzek drogi (przyp. red.).

⁶ Tyn – dawniej ogrodzenie (nierządko z gałęzi) lub mur. Słowo wywodzi się z języków germańskich (przyp. red.).

Twarz starca spokojna była i poważna, ogorzała ze skórą jakby splekaną, tak ją fałdy i zmarszczki pokryły całą siecią gęstą. Nad oczyma siwymi dwa krzaki bujnych brwi sterczały najeżone. Suchą szyję, którą obnażoną widać było spod koszuli jak twarz pokrajaną, brunatną – niby węże sine oplatały żyły pod skórą nabrzmiałe.

W chwili, gdy podróżny starca zobaczył, ten właśnie na psy zawołał groźnie, ręką im wskazując w tył, za siebie, a kij podnosząc do góry. Podróżni stanęli, rozglądając się ciekawie.

– Pokłon wam, stary Wiszu – rzekł, z konia nie zsiadając, podróżny, uchyliwszy tylko głowę – pokłon wam. Każcie waszym psom do zagrody, boby nas porozdzierały... A my, starzy znajomi i dobrzy przyjaciele, choć nie swoi – a nie wrogi.

Słowa te powoli wyrzekł starszy łamaną mową Serbów nadłabskich, usiłując przybrać postawę i twarz uprzejmą.

Stary patrzył, nic jeszcze nie odpowiadając. Na psy naprzód zakrzyczał groźnie, aby szły precz, ukazując im zagrodę, bo warczały i zęby szczerzyły, patrząc na przybyszów, i coraz to się ku nim targały. Nie chciały odchodzić. Gospodarz huknął w dłoń. Na głos ten zza tynu ukazała się ostrzyżona głowa parobczaka, który rozkaz zrozumiawszy, psy nawołał, wpędził do obejścia i zamknął za nimi wrota. Słychać je było szczekające i wyjące w szopie.

– Zdrow bywaj, Hengo. Cóżście to znowu tak daleko w nasze lasy zawędrowali? – rzekł gospodarz.

Rudy powoli z konia zląszczy i dawszy go chłopcu, który na swoim pozostał – zbliżał się z wolna do starego.

– Ha! Po świecie się tak człek włóczy, ciekaw zobaczyć, jak tam gdzie ludzie żyją – począł mówić. – Przy tym też jakaś zamiana zrobi się może. Lepiej w spokoju wymieniać, czego u jednych zbytek, a drugim brak, niżeli napadać zbrojnie, a z życiem razem wydzierać. Ja – wy wiecie – człowiek spokojny, zaopatruję, komu czego trzeba... aby żyć...